

Lech K. Paprzycki

Mozambik : państwo, którego nie ma

Palestra 38/11(443), 95-104

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lech K. Paprzycki

Mozambik – państwo, którego nie ma

Wbrew pozorom nie jest to próba zachęcenia szokującym tytułem do lektury mego sprawozdania z kolejnej podróży na południe Afryki. Jest to bowiem opisanie tego, co jest rzeczywistością.

Uczestniczyłem wraz z dwiema parlamentarzystkami z Austrii, profesorem historii jednego ze szwajcarskich uniwersytetów i członkiem brytyjskiej Izby Lordów w misji AWEP-y (Stowarzyszenia Zachodnioeuropejskiego na Rzecz Afryki Południowej), której celem było poznanie sytuacji politycznej, ekonomicznej i społecznej przed przygotowywanymi na koniec października 1994 r. wyborami parlamentarnymi i prezydenckimi. Wyjeżdżałem z Warszawy mając tylko znikomą wiedzę o tym, co dzieje się w Mozambiku. Wiedziałem, że siedemnastoletnia wojna domowa skończyła się w 1972 r., że w tym czasie życie utraciło ponad 1,5 miliona ludzi, a dalsze 5 milionów uciekło z kraju lub było zmuszone opuścić swe domostwa. Wiedziałem również, że proces pokojowy okazał się bardzo trudny, a realizacja podpisanego w 1992 r. w Rzymie porozumienia między FRELIMO a RENAMO napotyka poważne przeszkody. Powszechnie formułowana była ocena, że sytuacja państwa jest bliska katastrofy. Rzeczywistość okazała się bez porównania gorsza.

Najpierw tylko dla przypomnienia: FRELIMO to rządząca, na zasadzie wyłączności, komunistyczna partia Mozambiku, która dziś prezentuje się jako socjaldemokratyczna, natomiast RENAMO to organizacja deklarująca antykomunizm i narodowy charakter, mająca za sobą partyzancką walkę w okresie wojny domowej. Jednak przeciwnicy wiążą ją ściśle najpierw z nie istniejącą już Rodezją a później z rasistowską RPA. Jaka jest prawda o obu tych organizacjach, trudno dziś dociec. Nie to jest jednak najważniejsze – dobrą weryfikacją będą październikowe wybory.

Do Mozambiku dostać się jest bardzo trudno, zwłaszcza z Europy. Bezpośrednie loty są praktycznie tylko dwa razy w tygodniu z Paryża. Nie pozostaje nic innego jak podróżowanie przez Johannesburg, co też nie jest łatwe. Samoloty z Europy przylatują rano – do Maputo najwyżej trzy połączenia dziennie, z wyjątkiem soboty. Często trzeba czekać długie godziny. Tym razem jest to dla mnie wygodne, gdyż nie mam wizy mozambickiej, którą muszę uzyskać w Johannesburgu. Znowu korzystam z pomocy Ambasadora St. Cieniucha, który oddaje mi do dyspozycji swój samochód. W innym wypadku dziewięciogodzinna przerwa w podróży byłaby nie wystarczająca. Urzędnik konsularny, już po rozmowie z polskim ambasadorem, przyjmuje mnie uprzejmie, ale załatwianie trwa bardzo długo z uwagi na konieczność sporządzenia kilkunastu obszernych dokumentów. Na szczęście mam dwa zdjęcia, które wziąłem z domu wiedziony chyba instynktem wędrowca, a konieczne okazuje

się także wypełnienie obszernego kwestionariusza, w którym większość pytań sprawia wręcz absurdalne wrażenie.

Ale zdążyłem i oto lecę do Maputo pełen niepewności, co przyniosą najbliższe dni. Na szczęście zabrakło mi wyobraźni. Lot trwa tylko nieco ponad godzinę, na dużej wysokości.

Jest pora sucha, zniknęły południowoafrykańskie pola uprawne i brunatno-żółta przestrzeń buszu nic nie mówi. Pojawiają się gęste chmury, które ustępują, gdy w dole ukazuje się już Mozambik. Zapada zmrok... jedynie w kilku rejonach dostrzec można płonący busz. Po chwili jesteśmy już nad Oceanem Indyjskim, gdyż samolot podchodzi do lądowania od strony morza.

Jest to odpływ, w zatoce i w porcie kilka wraków statków, gęsta sieć bocznic kolejowych, ale niewiele wagonów i ani śladu lokomotywy – odnoszę wrażenie, że port jest martwy. Już jesteśmy na pasie lądowania i tu kolejne zaskoczenie: lotnisko jest nie ogrodzone, w pobliżu nędzne murzyńskie zabudowania, ślady przechodzenia i przejeżdżania przez pasy startowe dość liczne, a grupki ludzi oczekują na kołowanie samolotu.

Dworzec lotniczy skromny, może trochę większy niż „stare” Okęcie. Budynek chyba dopiero co po naprawach, niezbyt zresztą staranny. Oczekuje nas Guido van Hacken, Belg z pochodzenia, od lat mieszkający w Mozambiku, kierujący biurem AWEF-y w Maputo. Robi bardzo dobre wrażenie, jest bezpośredni, pogodny, energiczny. Okazuje się wyśmienitym organizatorem, niezastąpionym przewodnikiem, władającym biegle nie tylko większością języków europejskich, ale i kilkoma miejscowymi narzeczami. Nie sposób przecenić tego w sytuacji, gdy poza Maputo bardzo wielu Mozambijczyków nie mówi po portugalsku.

Załatwianie formalności trwa, nawet jak na nasze „historyczne” doświadczenie z okresu Polski Ludowej, długo. Przejazd z lotniska do miasta, to kolejne trudne doświadczenie. Osiedla skrajnej nędzy, chatynek skleconych z byle czego ciągną się aż do centrum. Poraża wręcz bród nie sprzątanego miasta, które liczy około 2 milionów mieszkańców. Skrajnie zaniedbane jest prawie wszystko. Po kilku dniach zorientujemy się dopiero, że są tu może dwie, najwyżej trzy główne ulice czasami sprzątane, a także rejon zajmowany przez nieliczne zresztą przedstawicielstwa dyplomatyczne, dwa porządne hotele i trzeci zajęty w całości przez pracowników licznych agend ONZ. Choć trudno w to uwierzyć, tylko raz, wychodząc z ambasady Szwajcarii, wzorowo utrzymanej, w zasięgu wzroku znalazłem to, co piękne: zieleń, zatoka i łagodne słońce. Ten jedyny raz nie rzucały się w oczy ślady zniszczeń, dewastacji i zaniedbania. Bardzo trudno dziś uwierzyć, że Maputo było kiedyś pięknym miastem.

Hotel „Andalucia” sytuuje się na pograniczu standardu europejskiego. Choć jest klimatyzacja i wiele innych urządzeń, to na każdym kroku widać, że wszystko ledwie się „trzyma”, a generalny remont konieczny jest natychmiast. To jeden z dwóch nadających się do zamieszkania hoteli w mieście. Doba, jak na miejscowe warunki (tylko w dolarach) kosztuje majątek. Ten drugi hotel to „Polana” w stylu kolonialnym, tuż po remoncie, wręcz luksusowy, a ceny tylko dwukrotnie wyższe. Zresztą nie chodzi już o te hotele, ale o to, co dostrzegalne jest w ich pobliżu.

Z okna mojego pokoju widok na zatokę, ale jednocześnie daje się zauważyć katastrofalny stan kilkudziesięciu najbliższych budynków. Za czasów portugalskich musiała to być bogata dzielnica. Widać, że od wielu lat nikt o te budynki nie dbał. Nowi mieszkańcy w ogóle o nic nie dbają: odrapane tynki, wybite szyby, częściowo zawalone dachy, wokół śmietniska, zwłaszcza tam, gdzie pozostały resztki zburzonych lub wypalonych domów. Szczególnie przykry jest kontrast między żywopłotem i trawnikami hotelu, który ma nawet basen na otwartej przestrzeni, w zaniedbanej dzielnicy. Tak wygląda całe miasto – nieliczne posesje stanowią wyspy w morzu nędzy.

Wieczorem spotykamy się z Joe Hanlonem, od lat badającym rozwój sytuacji na południu Afryki, znawcą rejonu, autorem kilku książek na ten właśnie temat. Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej, bo obraz stolicy daje wyobrażenie o tym, co dzieje się na prowincji. Joe jest optymistą. Zapewnia nas, że w kraju panuje spokój, tak że nawet samotne spacerowanie w ciągu dnia po Maputo, czy gdziekolwiek indziej, nie wiąże się z najmniejszym niebezpieczeństwem. Jest to jednak spokój dość pozorny – wynik zmęczenia społeczeństwa siedemnastoma latami wojny domowej.

Czy jednak można mieć zaufanie do polityków? W to wątpi wielu, w tym nasz rozmówca. Cały kraj jest zniszczony, zdewastowany. Co najmniej 500 000 uciekinierów jeszcze nie powróciło do ojczyzny. Władza centralna rządzącego jeszcze dziś FRELIMO ogranicza się do Maputo, prowincji o tej samej nazwie i sąsiedniej prowincji Gaza. Z pozostałymi prowincjami: Inhambane, Sofala, Manica, Tete, Zambezi, Nampula, Niassa i Cabo Delgado istnieje tylko łączność lotnicza, bardzo wąta, a cała środkowa część państwa opanowana jest przez konkurencyjne RENAMO, gdzie urzędnicy centrum w ogóle nie mają wstępu. Nie ma wojska: armia rządowa i oddziały RENAMO zostały zdemobilizowane, a nowa armia, zresztą bardzo nieliczna jak na kraj tak rozległy, jeszcze nie powstała, bo brakuje nawet mundurów i obuwia, nie mówiąc już o sprzęcie, środkach transportu i łączności. Nie ma sił policyjnych, a ci przedstawiciele prawa, których jeszcze gdzieś widać w starych punktach kontrolnych na drogach, zajmują się, jak twierdzą zorientowani, ściąganiem haraczu od przemytników i zwykłych złodziei zgarniających to, co jeszcze w tym kraju najbiedniejszym z biednych pozostało do zabrania. Podobno korupcja jest wszechogarniająca, w co bez trudu uwierzyliśmy, kiedy następnego dnia przed hotelem podszedł do nas celnik odprawiający nas po przylocie, oświadczając bez skrępowania, że jak dostanie 10 dolarów, to nie będziemy mieli kłopotów przy wyjeździe. Gdy odmówiliśmy, odszedł z uśmiechem, zapewne w poszukiwaniu kolejnego cudzoziemca.

Władza centralna w zasadzie nie sięga poza stolicę. Co gorsza nie ma administracji terenowej, nie ma szkół, szpitali ani żadnych zwykłych we współczesnym państwie instytucji rządowych i samorządowych. RENAMO twierdzi, że na terenach przez siebie opanowanych wszystkie instytucje państwowe utworzyła i domaga się ich zalegalizowania, natomiast FRELIMO nie spieszy się z tym przed wyborami twierdząc, że tego wszystkiego po prostu nie ma. Jak jest w rzeczywistości...?

Trudno sprawdzić. Po wyborach będzie to niebagatelny problem – wszystko zależy od tego, kto wygra.

Czego jeszcze nie ma? Przede wszystkim komunikacji i łączności, elektryczności, a generalnie brak wody. Drogi zostały zniszczone, na olbrzymiej przestrzeni zaminowane przez obie walczące strony. Linie przesyłowe i telefoniczne wysadzone, a reszta, miedziane przewody, rozgrabione. Widać to wszędzie, nawet w niewielkiej odległości od Maputo. Nie ma środków transportu: samochodów, autobusów, ciężarówek, a nawet zwierząt pociągowych. Rower, zwłaszcza na wsi, jest bogactwem. Podróż samochodem do granicy z Malawią w środkowej części kraju, może w porze suchej zabrać około czterech dni. W porze deszczowej podejmowanie takiej wyprawy jest w ogóle niemożliwe.

I już kończąc o tym, czego nie ma: kolej. Czynna jest tylko jedna linia, jednotorowa z Maputo do Pretorii, dla transportu towarowego. Połączenia stolicy z graniczną stacją Chicualacuala to dwa pociągi w tygodniu, natomiast pociąg osobowy do Pretorii kursuje „od czasu do czasu”, a zainteresowani muszą dowiadywać się na dworcu w Maputo, kiedy taki pociąg wyruszy.

Wydostanie się z Mozambiku nie jest zatem rzeczą łatwą, a brak chronionych granic tylko pozornie ułatwia sprawę. Wszak tylko nieliczne drogi są przejezdne, a transport drogowy w zasadzie nie istnieje. Z tego powodu cała granica z Tanzanią jest nie do przekroczenia i dlatego też powrót uciekinierów z tego kraju odbywa się morzem lub przez terytorium Malawii. Jeżeli do tego dodać, że na całym terytorium walczące strony pozostawiły miliony min w nie rozpoznanych do dziś miejscach, to przerażający obraz mozambijskiej rzeczywistości końca 1994 roku będzie chyba pełny. Tak więc ocena zawarta w tytule reportażu nie jest przesadzona: tego państwa, tego społeczeństwa nie ma, a odbudowa do akceptowanego minimum trwać będzie co najmniej pokolenie.

Wszystko, co dziś dzieje się pozytywnego w Mozambiku, to wynik pomocy międzynarodowej, koordynowanej przez ONZ (ONUMOZ). To dzięki ONZ sprawnie przeprowadzana jest demobilizacja oddziałów zbrojnych, organizowany jest powrót uciekinierów z państw ościennych, jak też realizuje się programy reintegracji społeczeństwa mozambickiego przede wszystkim na terenach wiejskich, w tym szczególnie ważny program odbudowy sieci szkół, służby zdrowia, opieki nad dziesiątkami tysięcy sierot wojennych, zaopatrzenia w wodę, budownictwa i elektryfikacji. Gdyby nie pomoc międzynarodowa, społeczeństwo to zostałoby skazane na zagładę.

Joe Hanlon jest mimo wszystko optymistą. Jedyne sposoby na przetrwanie, to życie z dnia na dzień. Inne wyjście, to albo beznadziejna wegetacja, albo natychmiastowa ucieczka z Mozambiku.

Kolejne dwa dni poświęciliśmy na spotkania z przedstawicielami dyplomatycznymi państw zachodnioeuropejskich (Wielka Brytania, Austria i Szwajcaria), a przede wszystkim z odpowiedzialnymi funkcjonariuszami agend ONZ koordynującymi pomoc dla Mozambiku, a także nadzorującymi realizację pokojowego porozumienia z 1992 r. oraz przygotowania do wyborów.

Potwierdza się ocena Joe Hanlona, dowiadujemy się więcej na temat sytuacji gospodarczej. Jest ona, w ocenie naszych rozmówców, katastrofalna. Państwo po prostu zatrzymało swą działalność, a zdewastowana gospodarka nie otrzymuje żadnego impulsu uruchamiającego. Wszystko ogranicza się do dystrybucji pomocy zagranicznej. Doszło do tego, że nic się nie opłaca robić, wytwarzać – znacznie taniej jest sprowadzić to z zagranicy, przede wszystkim z RPA. Rynek nabywcy jest niewyobrażalnie płytki – ogranicza się do artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. Nie jest to czas na robienie „normalnych” interesów w tym kraju, to czas dla ludzi nieuczciwych, którzy są gotowi dobijać targu nawet na największym ludzkim nieszczęściu. O inwestycjach zagranicznych nie sposób w tej chwili mówić. Brak podstaw prawnych, bo FRELIMO przez lata myślało tylko o socjalizmie i jedynie Południowoafrykańcykom udaje się coś tu wykupywać, choć nie bardzo wiadomo, w jaki sposób. W Maputo, na jego przedmieściach i w pobliżu miasta, widać skromne oznaki ruchu budowlanego, ale trudno ocenić, czy jest to rzeczywiście początek zmian na lepsze. W głębi kraju nic się nie dzieje i to od wielu lat. Poza pracownikami agend ONZ w całym Mozambiku przebywa tylko trzech Szwajcarów, około 10 Austriaków i niewiele więcej Anglików, którzy przede wszystkim nadzorują odbudowę linii kolejowych i portu. Jest też grupa obywateli byłego Związku Radzieckiego: lekarze, pracownicy mozambickich linii lotniczych i podobno, jak nas przekonywali działacze RENAMO, „doradcy” rządowi, w tym w służbie bezpieczeństwa, która skąd my to znamy, posiada komplet „teczek” na „swoich” i tych z RENAMO.

Spotkania w kwaterze ONZ okazały się bardzo interesujące. Tu dowiadujemy się, że techniczne przygotowania do wyborów przebiegają sprawnie. Tylko 5 procent kosztów poniesie rząd – reszta ONZ. Prace postępowały powoli, bo obowiązywała zasada konsensusu, a o wzajemnym zaufaniu partnerów w ogóle nie mogło być mowy – mediacja przedstawicieli ONZ odegrała decydującą rolę. Komisje rejestrujące wyborców z powodzeniem wykonały swoje zadanie, nawet w najtrudniejszym terenie. Jednak żadna w tym zasługa uczestniczących w pracach komisji członków FRELIMO i RENAMO, którzy z reguły nic innego nie robili, poza braniem pieniędzy, a niejednokrotnie przeszkadzali.

Udało się zarejestrować przeszło 6,5 miliona wyborców, gdy ONZ liczył na 4,5. Tylko oni wezmą udział w wyborach, choć uciekinierzy ciągle wracają. Termin rejestracji jednak już minął. Kłopotów było bardzo dużo, gdyż dla mieszkających od pokoleń w buszu kwestia obywatelstwa jest w ogóle niezrozumiała, sprawa wieku nieistotna, a jednocześnie nieodosobnione są wypadki, gdy 16-latka ma troje dzieci. Wyborca musi mieć 18 lat. Szacuje się, że uprawnionych do głosowania, wraz z przebywającymi za granicą, jest około 8 milionów. Tak więc wynik rejestracji uznać trzeba za sukces organizacyjny. A jest to czynność decydująca o możliwości przeprowadzenia samych wyborów. Każda komisja rejestrowała tylko 1000 wyborców, którzy w dniach 27 i 28 października będą mogli oddać swój głos w tym samym miejscu. To bardzo ważne dla wyborców i komisji wyborczych. Pamiętać bowiem

cały czas trzeba, że blisko 90 procent ludności to analfabeci, z których większość nie zna portugalskiego.

Takie „przywiązanie” wyborcy do komisji ma swoje złe strony, bo wówczas łatwiej jest „przypilnować” wyborcę, by głosował lub nie, albo podejmować inne zakazane przez prawo wyborcze czynności. Zresztą, bez przesady można powiedzieć, że wybory w Mozambiku to wyłącznie problemy. Chociażby sprawa skreślenia na karcie wyborczej. Uświadomić sobie bowiem trzeba, że bardzo liczna będzie grupa wyborców, którzy pierwszy raz w życiu będą mieli w ręku papier i pierwszy raz zobaczą druk. Skreślenie jest czynnością prostą, ale nie dla tych ludzi. Kart do głosowania nie można udoskonalić, są już przygotowane. Pomocne mają być instruujące plansze, które zostaną umieszczone w każdym lokalu wyborczym – może wystarczą.

Z edukacją przedwyborczą nie jest dobrze, choć zaangażowano 6000 nauczycieli. Nie można wykorzystać telewizji, gdyż są tylko dwie stacje (Maputo i Beira) o niewielkim zakresie, radio słychać na 1/3 terytorium. Przede wszystkim jednak brak odbiorników i elektryczności. A szkoda, bo obrazy magnetowidowe wzbudzają żywe zainteresowanie nawet w najgłębszym buszu. Ale i to nie jest najważniejsze. Okazuje się, że znękanie wieloletnią wojną domową społeczeństwo obawia się wyborów, a w zasadzie tego, co będzie po nich. Oni chcą pokoju, spokoju, pewności następnego dnia, choćby najskromniejszych warunków bytowania. Potrzeby demokratycznych, wielopartyjnych wyborów parlamentarnych nie dostrzegają. O prezydencie myślą jak o przywódcy szczepowym – skoro nie może rządzić, władzę powinien przejąć jego syn – po co wybory prezydenckie? Powszechny jest brak zaufania zarówno do FRELIMO jak RENAMO (inne partie chyba nie będą się liczyć). Wielu obawia się, że przegrany znów sięgnie po broń i bez trudu sparaliżuje państwo.

Trudno w to uwierzyć, jednak prawda jest taka, że dziecięciu ludzi z niewielkim uzbrojeniem jest w stanie zablokować Maputo, a pięćdziesięciu całe państwo. Czy w tej sytuacji może dziwić niepokój Mozambijczyków?

Nic nie wiadomo: kto pójdzie głosować, jakie są preferencje, jak zachowają się wygrani i przegrani politycy? Jedno jest tylko pewne: wstępne wyniki trafią do głównej komisji w Maputo, tam zostanie podliczone i ogłoszone. Ostateczne wyniki będą po dwóch tygodniach. Gdyby zaszła konieczność drugiej tury wyborów prezydenckich (jest 12 kandydatów, w tym dwóch liczących się: przywódcy FRELIMO i RENAMO) to wypadnie ona w grudniu, w pełni pory deszczowej. Jak miało by to przebiegać – znów brakuje mi wyobraźni.

Te dwa dni wykorzystujemy bardzo rzetelnie. Dowiadujemy się wiele o pomocy humanitarnej ONZ, która jest zapewniana od początku 1993 r. w rozmiarach ograniczonych tylko barierą trudności komunikacyjnych. Potrzeby w tym zakresie nie sposób wręcz oszacować, Informacji przybywa, wiemy coraz więcej: obawy, wątpliwości i znów przede wszystkim trudności.

Późnym popołudniem wyjeżdżamy do odległego o kilkadziesiąt kilometrów na południe miasteczka-osiedla Boane. Zabudowa dość porządna, w porównaniu z Maputo w zupełnie niezłym stanie. Chyba to również osiedle z czasów portugalskich. Tu

odwiedzamy prowincjonalny lokal Organizacji Kobiet Mozambijskich. Przyjemnie rzuca się w oczy czystość przed domem, na klatce schodowej i w samym biurze. Dwie aktywistki, to panie w wieku około 40 lat, Murzynki. Obie znają nie tylko portugalski i miejscowy język szangana, ale także trochę angielski. Mówią nam o prowadzonym przez organizację szkoleniu wyborców – kobiet. Po chwili jedziemy do odległej o około 20 km wsi. Wokół bardzo biednie. Budynek wiejski mieszczący swego czasu sklep i szkołę w części zniszczony – tylko sklep, skromniutko zaopatrzone, już odbudowany. Szkoła (jedna spora sala) nadal bez dachu. W pobliżu kilkanaście blaszanych, zardzewiałych budek stanowiących lokalne „centrum handlowe”. Nieliczne są otwarte, a w najbiedniejszych oferuje się może z pięć garści nie znanych mi zielonych listków.

W sali szkolnej pięćdziesiąt oczekujących naszego przybycia kobiet w bardzo różnym wieku. Ubrane skromnie, choć nie nędznie. Po przeciwnej stronie nie mniejsza grupa gapiów: dzieci i kilku mężczyzn. Nasze przybycie przyjmują życzliwie. Od razu któraś z kobiet intonuje śpiew. Słowa w języku szangana są wszystkim znane. Ale prowadząca śpiew zmienia się i po chwili z tłumaczenia dowiadujemy się, że kobiety śpiewają o nas. Kończy się śpiew – zaczyna się szkolenie. Kobiety są w dobrym nastroju, a może są takie z natury, bo instruktaż przyjmowany jest ze śmiechem i padają krótkie dowcipne komentarze. Jest „zestaw treningowy” sprzętu wyborczego i kobiety chętnie uczestniczą w zaimprovizowanym „przedstawieniu wyborczym”. Przyjmują rolę członków komisji, obserwatorów międzynarodowych, przedstawicieli partii politycznych i oczywiście wyborców. Wszystko to jest okazją do wspólnej zabawy. Był więc wyborca-staruszek, inwalida bez rąk, niewidomy, szalony, a także pijany. Wszyscy, w tym członkowie naszej misji, przyglądali się temu widowisku z zainteresowaniem. Po prelekcji znów wspólny śpiew a potem tańce. Zmieniał się rytm, taneczny krok, tylko żywiołowe reakcje widzów wydawały się niezmiennie szczere. Późnym wieczorem wracamy do Maputo. Dopiero w samym śródmieściu lepsze nieco oświetlenie, na ulicach pełno ludzi. Noc jest bezksiężycowa, a mrok ukrywa współczesną brzydotę miasta.

Wspomnę jeszcze tylko o dwóch, bardzo szczególnych spotkaniach, z czołowymi postaciami FRELIMO i RENAMO. Obydwa niepokojąco zawodzą. T. Ululu, Nr 2 RENAMO, nic konkretnego nie miał do powiedzenia: same ogólniki, przypomnienie zasług własnych, wytknięcie zdrad przeciwników, dominuje pretensja, że nie otrzymują przyrzeczonych im na kampanię wyborczą pieniędzy. Podobnie przebiegała rozmowa z grupą członków Komitetu Centralnego FRELIMO. Oczywiście na pierwszym miejscu jest niechęć do RENAMO, potem głębokie przekonanie, że i tak zwyciężą w wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Liczą się z poważnymi trudnościami po wyborach, bo administracji utworzonej przez RENAMO na terenach przez nich opanowanych praktycznie rzecz biorąc nie ma, a tak w ogóle, to działaczom RENAMO chodzi jedynie o pieniądze i stanowiska, gdyż nie dysponują oni fachową kadrą.

W tej sytuacji trudno uwierzyć w możliwość współpracy tych dwóch organizacji. Tę ocenę potwierdza prof. F. Gahãno, urzędujący przewodniczący Zgromadzenia

Narodowego, który nie kandydując do nowego parlamentu, też ma poważne wątpliwości.

Mimo to, następnego dnia w dobrych nastrojach wyruszamy „w teren”. W mozambickich warunkach jest to niebagatelna wyprawa. Lecimy helikopterem ONZ typu „sikorski”, przystosowanym do przewozu pasażerskiego i towarowego. Już poprzedniego dnia w kwaterze ONZ podpisaliśmy oświadczenie, że cokolwiek stanie się z nami w czasie przelotu i pobytu poza Maputo, nikt za to nie ponosi odpowiedzialności, a już zwłaszcza ONZ.

Startujemy z opóźnieniem, jest dość wygodnie, niezbyt głośno, lecimy nisko, załoga i helikopter południowoafrykański. Widok z góry już po kilkunastu minutach robi się bardzo monotony: busz porośnięty większymi lub mniejszymi drzewami, od czasu do czasu kilka, kilkanaście, a często samotne chaty – ludzi prawie nie widać. Wszystko wyschnięte, jak to w końcu pory suchej. Lecimy wzdłuż linii kolejowej w kierunku granicy z Zimbabwe, a po prawej stronie widać koryto wyschniętej rzeki, której zakola z rzadka wypełnione są resztkami wody. Po godzinie lądujemy w Chokwe, by nabrać paliwa na cały dzień. Tu, jak i wszędzie po drodze, zburzone domy. Widzimy resztki lądowiska, bardzo skromne namioty żołnierzy ONZ i w pobliżu dużą murzyńską wioskę. Po 20 minutach lecimy dalej, kolejne 3 godziny. W dole ciągle to samo i nieliczne tylko bardziej zielone plamy, choć wody prawie nie ma. Po drodze widzimy miasto-wieś Mapai, które odwiedzimy wracając, a dalej kolumnę kilkunastu ciężarówek i autobusów. Kapitan helikoptera informuje nas, że to transport powracających z Zimbabwe uciekinierów mozambickich. Do Mapai, obozu przejściowego, mają jeszcze kilkadziesiąt kilometrów gruntową drogą.

Chicualacuala leży w odległości 1 km od granicy z Zimbabwe i w pobliżu granicy z RPA. Właśnie przez tę stację graniczną dociera całość pomocy ekonomicznej dla Mozambiku i zaopatrzenia dla agend ONZ. Jest to stolica dystryktu, jednak wygląda jak zdewastowana wieś galicyjska w okresie pierwszej wojny światowej. Nie ma ani jednej ulicy, żadnych miejskich urządzeń, czy komunalnych budynków. Tylko obok stacji kolejowej odnowiony barak zajmowany przez ONZ. Tu spotykamy grupę 20–30-latków stanowiących sztab. Są pełni energii, optymizmu i przekonania o wyjątkowości swej misji. Nie brak też miejscowych aktywistów. Najważniejsze jest jednak to, że są rezultaty ich pracy. Przekonujemy się o tym odwiedzając znajdujący się w pobliżu obóz przejściowy, w którym zatrzymują się na krótko wszyscy przybywający z wygnania. Choć teren tu piaszczysto-gliniasty, obóz jest dobrze urządzone, wszędzie widać porządek i rękę „dobrego gospodarza”. Teraz jest tu tylko około 200 osób. Przybyli poprzedniego dnia z RPA. Wyglądają dość skromnie, ale mają ze sobą trochę osobistych rzeczy i „wielkie bogactwo” jak na dzisiejsze mozambickie warunki – sporo rowerów. W państwie bez środków komunikacji – rzecz niezwykle cenna. Ale są to ci szczęśliwsi z nieszczęśliwych, którzy uciekli do RPA, gdzie mieli możliwość choć trochę pracować. Przebywający na wygnaniu w Zimbabwe, Malawii i Tanzanii całe lata spędzili w obozach dla uchodźców, gdzie pracy nie było. Ci wracają tak jak uciekali – bez niczego, co

zobaczymy w Mapai. W Chicualacuala wizytujemy także magazyny ONZ: porządek idealny, zasoby znaczne, a dokumentacja przejrzysta.

Po godzinie wyruszamy w dalszą drogę do Mapai, by zobaczyć tych, którzy wracają z Zimbabwe. Lądujemy niedaleko od tego obozu, w miejscu, gdzie trochę więcej trawy, ale tumany kurzu i tak się wzbijają. Kolumna właśnie przekracza bramę obozu, mamy więc okazję zobaczyć, jak sprawnie wszystko przebiega. Okazuje się, że przybyli mają opiekuna ONZ, który towarzyszy im od granicy. Oddzielnie stają autobusy, w innym miejscu ciężarówki. Są sanitariusze, ludzie odpowiedzialni za rozmieszczenie w obozie, dysponent wody, nadzorca kuchni, a także osoba szczególnie odpowiedzialna za opiekę nad dziećmi. Wszystko odbywa się sprawnie: widać niewidomego staruszka prowadzonego do punktu sanitarnego i grupkę bezdomnych sierot z sanitariuszką. Namioty są oznaczone, informacja natychmiastowa i po kilkunastu minutach przybyli znikają, by niedługo potem pojawić się ponownie przy ciężarówkach. Tam też znajdują się zbiorniki z wodą, kuchnia polowa i namiot jadalny dla dzieci. Ciężarówki są nowoczesne i dopiero ich rozładunek pozwala się zorientować, jacy ludzie wracają – to nędzarze. Nie jest to w najmniejszym nawet stopniu przesada – ci ludzie, po wielu latach pobytu na obczyźnie, przywieźli rzeczy, które na polskim śmietniku nie wzbudziłyby zainteresowania nawet najnędzniejszego bywalca tego szczególnego miejsca. Cóż tam było? Stare beczki metalowe bardzo zardzewiałe, toboły zniszczonych szmat, znacznie zniszczone deski, kołki, listwy, a nawet zbite z kiepskich desek drzwi z uszkodzonymi zawiasami. Jedyne, co zauważyłem jako przedmiot użyteczny, to bardzo wyeksploatowane taczki.

Próbujemy rozmawiać z tymi ludźmi, oczywiście przy pomocy dwóch tłumaczy, gdyż nasi rozmówcy nie znają nie tylko angielskiego, ale również portugalskiego. Są zmęczeni emigracją, ale także kilkudniową podróżą, pełni nadziei na pokój w kraju, ale i obawy o swą przyszłość po wyborach – tragiczna lekcja angolska utkwiła w świadomości wszystkich. Przed nimi jeszcze daleka droga, ale są pewni, że dostaną nie tylko żywność na najbliższy czas, ale przede wszystkim podstawowe narzędzia, nasiona i rozminowane pola. Chcą zdążyć przed porą deszczową, by niedługo zebrać pierwszy plon, co będzie dla nich dowodem, że wraca normalne życie.

W drodze powrotnej w Massingir oglądamy podnoszoną z ruin pełnowymiarową szkołę podstawową i coś pośredniego między ośrodkiem zdrowia oraz szpitalikiem. Wokół tej miejscowości, jak w wielu innych miejscach, dostrzegamy szczególne ślady wojny. Przy schodzeniu do lądowania widać czołgi stojące na pozycjach obronnych, artylerię i kilkanaście transporterów opancerzonych – sprzęt typu radzieckiego. Okazuje się, że to wszystko zostało porzucone przez armię FRELIMO, a miejscowym do niczego nie jest przydatne.

Ostatniego dnia jeszcze jedna szczególna wizyta. Udajemy się samochodami ONZ do odległego o 150 km od Maputo obozu szkolenia specjalistów rozminowania w Moamba. Pole treningowe to znów wzór dobrej organizacji. Oglądamy zarówno proste narzędzia, jak i dedektor ostatniej generacji identyfikujący pod ziemią

wszystko to, co nienaturalne. Bardzo pomocny. Rozminowanie – praca na pokolenie – wymaga nie tylko znacznych środków, ale przede wszystkim specjalistów. Tych tu się właśnie szkoli w ciągu 6 tygodni. Czynności ich nie są typowo saperские, ale i warunki mozambickie szczególnie. To nie tylko miliony min, ale przede wszystkim brak informacji, gdzie one spoczywają, jakiego są rodzaju, nie mówiąc już o tym, że miny w porze deszczowej przesuwają się wraz z masami błota. Zidentyfikowano 36 typów min, również te szczególnie zbrodnicze, pomyślane tak, by zainteresować dziecko. Producenci różni, na szczęście nie ma tu min wyprodukowanych w Polsce, są natomiast czeskie. Najgroźniejsze są te najnowocześniejsze: amerykańskie i południowoafrykańskie, plastikowe, z bardzo czułymi i w zasadzie niezniszczalnymi zapalnikami. Niestety są już ofiary śmiertelne, będzie ich z całą pewnością więcej, nie mówiąc już o ludności cywilnej.

Zbliżyliśmy się do prawdziwego pola minowego. Wszyscy na stanowiskach: wzorowa organizacja, cisza, skupienie, poczucie odpowiedzialności. Z miejsca zupełnie bezpiecznego obserwujemy czynności przy odnalezionej minie. Wszystko zajmuje około 15 minut. Na końcu przychodzi dowódca plutonu i ładunkiem wybuchowym detonuje minę. W ten sposób powstało jeszcze pół metra uwolnionej przestrzeni. Towarzyszący nam oficer pokazuje rozpoznany rejon zaminowania tylko po tej stronie linii kolejowej – rozciąga się aż po horyzont.

Wracamy do Maputo inną drogą, znów mijamy urządzenia wojskowe, tym razem stację radiolokacyjną dla potrzeb lotnictwa – to też porzucone szkielety. Nieco dalej, na wyższym wzgórzu, wielka antena przekazu satelitarnego, chyba czynna, ale w wielu miejscach zardzewiała.

Nie sposób przekazać w krótkim reportażu ogromu wrażeń wyniesionych z tej wyjątkowej misji. Nie można jednak powstrzymać się od przekazania przeważającej dziś w Mozambiku oceny co do przyszłości państwa. Wszyscy głęboko wierzą, że wojna domowa nie powróci. To niemożliwe, gdyż społeczeństwo jest zbyt wycieńczone. Najważniejsze, że świadomość tego mają politycy, zwłaszcza działacze FRELIMO i RENAMO. Angola się nie powtórzy. Wszyscy mają również świadomość tego, że nikt dziś nie da pieniędzy na destabilizację kruchej jeszcze spokoju. Sąsiedzi: Zimbabwe, RPA, Tanzania, Malawi i Suazi zainteresowane są spokojem w Mozambiku. To jeszcze ważniejsze. Mozambik potrzebuje ogromnej pomocy zagranicznej i kapitału – bez pokoju nie będzie nic.

Jest jednak obawa, że bezbronne państwo, bez administracji, służby zdrowia, wojska, policji z prawdziwego zdarzenia, może w każdej chwili i na długi czas zostać sparaliżowane przez kilkudziesięciosobową grupę szaleńców politycznych lub nawet zwykłych bandytów. Zarówno pierwszych, jak i ostatnich na pewno nie brakuje.

Zabieram z Mozambiku czerwoną tablicę ostrzegawczą w języku portugalskim i szangana: „Uwaga miny”, jednak w przekonaniu, że długo jeszcze równie ważna byłaby tablica z ostrzeżeniem: „Uwaga nieodpowiedzialni politycy”. A może nie pozbawione byłoby sensu przywiezienie także takiej tablicy do Kraju?